

Świat otwarty Papugi, świat podmorski i kosmiczny Szumana, wreszcie świat ocalony z katastrofy Rajzmana - to ich strefy nieskażone, wewnętrzne światy nieskalane brzydotą i zepsuciem, enklawy czystości i wyłączności. Oni, ci moi artyści, są - używając określenia Jana Papugi - poszukiwaczami piękna, strażnikami swoich marzeń i utopii, rzecznikami scalenia. Jeśli tego swojego piękna nie mogli znaleźć bądź go uchronić, wówczas przynajmniej poszukiwali jego śladów, jak ów wędrowiec w wierszu Eliasza Rajzmana: *Astrolog głowę zadziera, / widzi - / słońce umiera / i stary wędrowiec / z latarnią, / grotę obchodząc po grocie / szuka skrzydeł rozbitych, / które czas / złamał w polocie*. To co wydaje mi się wspólne Szumanowi, Papudze, Rajzmanowi, to zakorzenienie na brzegu szczecińskim. Próbowałem w tych impresjach pytać jak w tych poszukiwaniach pojmowali rolę artysty.



Mariusz M. Czarniecki, dziennikarz, eseista. Ukończył studia romanistyczne i prawnicze. Eseje i proza w "Dialogu", "Literaturze", "Nowym Wyrazie", "Akencencie", "Pograniczach", oraz w radiu. Książki: "Tejrezjasz", "W niewoli mediów", "Poszukiwacze piękna", "Mediota", "Dialog z niedowiarkiem". Współautor: "Ku Słońcu 125 - Księga z Miasta Umarłych", "Tryptyk Szczeciński". Autor słuchowisk (m.in. "Miodowód" w Teatrze PR, "Rewers"); scenariuszy (pantomima "Syn Marnotrawny nie wraca"); filmu ekologicznego "Transmutacje"; parateatralnych happeningów; "Warsztatów Muz". Wzbogacił polską literaturę marynistyczną opracowując literacko dwie fascynujące powieści ("Papierowa dżungla", "Okrutny Świat") Jana Papugi znanego przedtem jako autora jedynie opowiadań.



OTTONIANUM

## SPIS TREŚCI

Szaleństwa Jana Papugi **9**

Ziemowita Szumana strefy nieskażone **29**

Wykorzenienie Eliasza Rajzmana **47**



**Szaleństwa  
JANA  
PAPUGI**

## DIALOG I.

### *NIESYTY WŁÓCZĘGA*

– Wszystkim, którzy cię znali w Szczecinie utrwaliłeś się w wyrazistej postaci schludnego łazika, tak łazika, to słowo trafniejsze aniżeli włóczęga, chociaż sam siebie chętnie nazywałeś włóczęga, niesyтым włóczęga, oczywiście niesyтым przygody, niezaspokojonym, zaś krytycy wszelkiego autoramentu mawiali o tobie – nie zawsze życzliwie, częściej lekceważąco – tramp – ja odnoszę to określenie raczej do twojej odysei po szerokim, wielkim świecie. W mikroświatku Szczecina byłeś po prostu łazikiem, perypatetykiem szczecińskich ulic, gwiazdzystych placów i placyków, najchętniej placu Hołdu Pruskiego, lubiącym rozmyślać bądź wdawać się z tym swoim naiwno zapraszającym uśmiechem z chętnymi w dłuższe i krótkie gadki o ludziach oraz o dziwach ziemi i mórz. Dla wielu byłeś tylko mocno szpakowatym czy, używając twego określenia, szronkowatym hipisem tamtych lat, dla niektórych, co tu ukrywać, mało poważnym obibokiem, czymś w rodzaju wysublimowanego kloszarda...

– *Uważasz, że ludzie... nie lubili mnie?*

– To nie to. Przyjmowano cię na ogół raczej z sympatią, gdy pojawiałeś się zazwyczaj wczesnym rankiem w pobliżu wówczas poczerniałej, obrosłej dzikim winem i wybujałymi krzewami Bramy Królewskiej, albo kiedykolwiek i gdziekolwiek na rozległych przestrzeniach tego pięknego, portowego miasta – niski, krępy, o grubo i zarazem szlachetnie uwydatnionych rysach filuternie czujnej twarzy kilkudziesięcioletniego chłopca w krótkich spodenkach lub dżinsach, dunkrach, jak mówiłeś, w koszuli flanelowej, kraciastej, rzadziej w jakimś kusym sweterku, obuty w te twoje sandały „apostoly”, z przerzuconym przez ramię chlebaczkim...

Ci, którzy chcieli, mogli się dowiedzieć z rozmaitych zapisków, ustnych przekazów, że urodziłeś się 16 lutego 1915 roku we wsi Zbyszek (Zbyszki?) pod Piotrkowem Trybunalskim i tam nad rzeką Pisią, dopływem Pilicy, spędziłeś najwcześniejsze dzieciństwo...

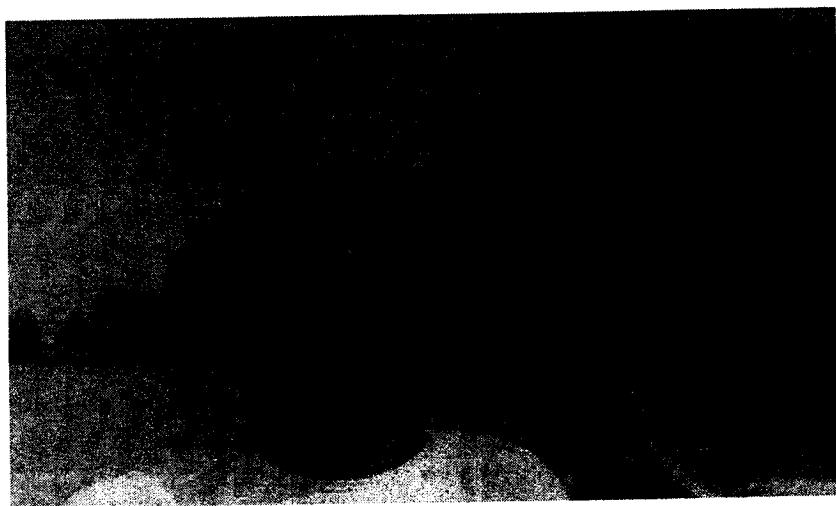
Podobno wieś aż się roiała od Papug, od takiego jak twoje nazwiska. Twoja rodzina była chłopska ze strony ojca – człowieka bogobojnego, bywałego trochę w świecie, matka wywodziła się ponoć ze szlachty. Miałeś liczne rodzeństwo, większość jednak wcześniej umarła z powodu niedostatku. Rodzina przeniosła się do Łodzi, gdzie ojciec został tkaczem; dotknęła was udręka wykorzenienia tak nekająca dziś ludzi. Pośród łódzkiego proletariatu klepaliście biedę, najczęściej bowiem twój ojciec, a potem i ty byliście bezrobotnymi. Usiłuję wyobrazić sobie ciebie wtedy – uwrażliwionego na podziały społeczne i niesprawiedliwość praw, i niedolę jednostki w zbiorowości, z natury wyczulonego na rozpoznawanie piękna i dobra, lecz niezdolnego do zdobywania tych wartości, do walczenia o nie, choć na swój sposób walczyłeś i broniłeś piękna... Zdaje się, że już wtedy zastanawiałeś się, czy koleje życia są nieuchronnie i raz na zawsze wytyczone, co wydaje się regułą, a liczyć można jedynie na traf odmiany losu, co jest wyjątkiem. Zanurzony w ideałach, bezbronny i jałowo wyczekujący, usiłowałeś tę bierność przezwyciężyć przyłączając się – wówczas dziecko biednej Łodzi – do ruchów kontestacyjnych. Bardziej wszak od rewolucji pociągała cię przygoda. Chciałeś utworzyć harcerski zastęp wodny, próbowałeś zaczepić się w lotnictwie, uciekłeś do Gdyni i tam myśłeś pokład na „Batorym”, odbyłeś z kolegą pieszą wędrowkę przez „zieloną granicę” do Konstancy w Rumunii, gdzie zaciągnęliście się na statek „Polonia” – twój pierwszy statek! Po powrocie do domu napisałeś list do generała Mariusza Zaruskiego i zostałeś przyjęty na jacht „Zawisza Czarny”, w końcu przystałeś – to ciągle jeszcze przed wojną – do załogi stateczku rybackiego...Przeżycia wojenne opisałeś w opowiadaniach oraz powieści pod tytułem „Okrutny świat”. Po wojnie przypłynąłeś z Londynu do kraju. I tym razem w Łodzi nie zabawiłeś długo, w 1947 osiadłeś w Szczecinie, zamustrowałeś na statek handlowy i popłynąłeś w rejs do Chin... W Szczecinie od najpierwszych chwil na przemian narastała i zanikała legenda o tobie: włóczędze morskich wojennych szlaków, włóczykiju szczecińskich ulic i literacie. Byłeś już znany jako autor tomu opowiadań z czasów wojny, wydanych najpierw w Londynie w 1995 r. pod tytułem „Najpiękniejszy rejs”, a następnie w kraju pod zmienionym tytułem „Szczury morskie”. Współpracowałeś

z przychylną ci wówczas „Twórczością”, z „Życiem Literackim”, „Kulturą”, a także radiem i prasą w Szczecinie. W 1950 otrzymałeś nagrodę literacką miasta Szczecina. W latach pięćdziesiątych pisałeś, ale nie udało ci się nic wydać, żądano daleko nieraz idących zmian fabuły i poprawek stylistyczno-językowych, nie znalazłeś życzliwości w wydawnictwach, a najgorsze było to, że straciłeś morze – nie dawano ci zgody na statek, nie mogłeś zamustrować. Nastal czas bezruchu, ale też i przewartościowań, także ideowych. Jak bardzo nie byłeś sobą świadczy nieudany zamach na powieść „Przebudzenie”; mało w niej rzeczy namalowanych pełnymi barwami, snujesz opowieść jakby półgębkiem, tu i ówdzie wзира nachalnie kwaśny pysk wewnętrznej cenzury – tak właśnie opowiadasz o konflikcie między starszym marynarzem Gorczycą – twoim alter ego a oficerem kulturalno-oświatowym, strażnikiem ideologicznym na statku.

Zbiory opowiadań ukazały się o wiele później: „Guadalajara, Guadalajara” w 1965, „Rio Papagaio” w 1969, „Ocean, ocean” w 1975. Zyskałeś pozycję jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy marynistów. W podróż morską udało ci się wyruszyć – po długiej przerwie – dopiero w 1967 i z niej to zrodziła się powieść „Papierowa dżungla”, nie wydana za twojego życia, podobnie jak wcześniejszy „Okrutny świat”. Wyplynałeś jako pasażer a nie członek załogi. Lecz taka podróż zgoła nie była twoim zamiarem i celem. Pragnąłeś przejść Afrykę – jak mówiłeś – w poprzek, od Oceanu Atlantyckiego do Oceanu Indyjskiego, od Kamerunu do Mombassy w Kenii, stosując się do wskazań De Brazzy o postępowaniu z tubylcami: „Przebywajcie wśród nich, spożywajcie wspólnie posiłki i zawsze pamiętajcie, że jesteście intruzami”. W tej afrykańskiej odysei chciałeś sycić pasję włóczęgowską niemłodego już globtrotera, i także tam byłeś – według twego własnego określenia – poszukiwaczem piękna.

*– Miała to być przygoda zamykająca mój wiek dojrzały, a książka o niej miała być książką mojego życia.*

– Przygoda okazała się koszmarem nadwrażliwego, nie przygotowanego do tak poważnej wyprawy fantasty, wynędzniałego Odysa. W Kamerunie w Jaunde, zostałeś uwięziony a następnie odstawiony na sta-



*Jan Papuga w Afryce, lata pięćdziesiąte.*

*fot. Wiesław Andrzejewski*

tek... Gorzki powrót do kraju. Niesmak kłeski, niespełnienia. Powstała książka, którą pisałeś aż do swojej śmierci w 1974 w Szczecinie.

*– Do zakończenia zabrakło mi pięćdziesięciu stron. Gdybym ją skończył... ba, też by się pewnie nie ukazała, tak jak „Okrutny świat”.*

– Otóż Janie, szalony trampie i poeto, ten nasz nieco dziwny, bo zaświatowy dialog, w którym ty uczestniczysz, dotyczy głównie twoich powieści. Powieści, które zostały wydane. „Papierowa dżungla” ukazała się w Szczecinie w 1982 roku z dopiskiem „Na tym urywa się pozostawiony przez Jana Papugę maszynopis”, ten dopisek w jednej z recenzji nazwano „pieczęcią śmierci”.

*– Ukazała się?! A więc jest książka!*

– Jest książka. I dla mnie ta właśnie książka najpełniej wyraża ciebie. Może dlatego, że jest w niej chyba największa dawka twojego szaleństwa, twego przesłania: że ty nie godzisz się, po prostu nie godzisz się z tym, co świat uznał za „normalne”, zrozumiałe, konieczne.

*– I to jest tym moim szaleństwem?*

– Właśnie to, że w tej powieści tak żarliwie przeciwstawiasz się zbyt kostycznej ludzkiej organizacji, jakże często przerodzonej w tyranie przepisów i pieczęci. Bohater tej powieści, a więc ty, Janie, występujesz w imię jak gdyby wyższej świadomości, w każdym razie innej świadomości, nie tej potocznej, pospolitej, jaka jest udziałem niemal całej reszty. Tą nadrealną świadomością usiłujesz przywrócić, czy raczej wprowadzić, stan jakiegoś superotwartego człowieczeństwa. No bo czy nie jest takim dążeniem twoje usiłowanie, by przebrnąć Czarny Łąd na przelaj z pięcioma (tak!) dolarami w chlebaczku, bez samochodów rajdowych, bez broni, bez tragarzy, bez zapasu pitnej wody, bez konserw i wiz?

*– Jeśli się tego naprawdę pragnie i liczy na spotkanie dobrych ludzi...*

– Spotkałeś dobrych ludzi. Spotkałeś ludzi życzliwych, którzy nawet odradzili trwanie przy szalonym zamiarze. I spotkałeś urzędników żądających okazania papierów, papierków... Ktoś „normalny”, przeciętny, i takież przeciętny i normalny pisarz pojąłby racje urzędników. Ale nie stworzyłby „Papierowej dżungli”. Powstałaby książka przygodowa albo książka o biurokratach – jednych i drugich książek aż nadto na półkach księgarskich.



## DIALOG II.

### POSZUKIWACZ PIĘKNA

– Proszę Ciebie, piękno to marzenie o czymś wyższym, niedostępnym zazwyczaj naszemu wzrokowi i dlatego tak pożądanym. Mówiono o mnie: ateista. Prawda, że jako chłopiec buntowałem się przeciwko porządkowi ludzkiemu, który mnie, moją matkę, siostry i mojego bogobojnego ojca skazywał na nędzną wegetację najpierw na wsi nad Pisią, potem w dużym mieście. Buntowałem się też przeciw Bogu, nie umiałem pojąć jak to jest, że Wszechwładna Istota znosi rażącą niesprawiedliwość. I oto zrozumiałem, że Bóg to nie sędzia doraźnych nieprawości, lecz uosobnienie docelowych tęsknot do piękna i dobra. Pamiętam w Lagos błądząc po ulicach, nie wiedząc co z sobą począć, wstąpiłem do kościoła. Nie dochodziła tam wrzawa ulicy, gramofonów, tańców. Poddąłem się wzniostej ciszy. Jedynym moim przytuliskiem była pryzma u Ibów nad oceanem, jednak uświadomiłem sobie, że i tu w świątyni znalazłem azyl.

– W „Papierowej dżungli” tak opisałeś te swoje odczucia: „Dom Boga. Tu ofiaruje się największy dar, dar nieba. Wielkie marzenie. Trzeba tylko uwierzyć, by je posiadać”. I dodałeś, że to „tak łatwe i tak niemożliwe”. Chciałbym jeszcze przypomnieć twój wspaniały opis lodowej góry. Było to rankiem. Twój bohater wyszedł na pokład szalupowy i wtedy ukazała mu się potężna góra „jak jedna lita skała z czepcem świetlistej bieli, nad nią smużył się ledwie zabarwiony błękit. Góra zdawała się sięgać nieba. Nie unosił się nad nią Bóg ze swoim dworem, z aniołami, co było dziwne. Jak człowiek z obsesją nieba (...) z zadartą głową wpatrywał się w olśnieniu”. Jan Papuga – włóczęga, hipis ponad pięćdziesięcioletni – z obsesją nieba.

#### *Zuzanny i – jeden starzec*

Skraadał się do nich tygrysim kroczeniem i wpatrywał w nie z namiętnym zachwytem i bojaźliwą rezerwą. Kiedyś obserwowałem jego zachowanie wobec nieznanym podążającej szczytną ulicą w pobliżu placu Żołnierza, opodal Muzeum Narodowego. Szedł za nią wytrwale,

a kiedy przystanąła przy witrynie Desy, zbliżył się, obszedł ją okrężnym tropem i zatrzymał w przyzwoitej odległości. Takie właśnie podchody obrazujące wielkie pragnienie i zarazem nieposkromioną delikatność i nieśmiałość, były w jego stylu.

W książkach zdradza się ze swoim wyobrażeniem pożądaney kobiety – potwierdzały to i nasze męskie gawędy – mocno wyidealizowanym. Było w tym jego ideale coś z komiksu i reklamowej atrapy. Mężczyźni są eleganccy, z „błyskiem szyku”, wykwintni, rośli, potężni, ogromni. Kobiety jasnowłose i raczej niefiligranowe. Przychodzi na myśl wołanie z Kabaretu Starszych Panów: „Wielką blondyną mi bądź!”. Jeszcze jako chłopiec pokładowy albo młodszy marynarz na frachtowcu bądź na statku wojennym, mozolnie odrysowywał z ilustrowanych magazynów takie właśnie wymarzone Zuzanny, platynowe cover girlsy. Lecz ta sama ręka kreśliła na kartach powieści obrazy miłosne nasycone zmysłowością i jednocześnie jakże wysublimowane – spotkanie Franka z Ullą na bazaltowych skałach szwedzkiej plaży. Gdy Franek wrócił na szkuner nie odpowiadał na uśmiechy przyjaciół, znajdował się „w najwyższym stanie dobroci”. Miłość – najwyższy stan dobroci, a nie jedynie owa jasnowłosa zewnętrzność. Podobnie portret świetnie narysowany, chociaż bardzo „okładkowy” na pierwsze wrażenie, prostytutki nowojorskiej Miedzianowłosej w „Okrutnym świecie” – także przeobraża się z płaskiego, jednowymiarowego, w pełny, pogłębiony, prawdziwy. Uświęcona kobiecym szczęściem, jakiego doznaje w ramionach Franka, zdobywa się na szczerą spowiedź ze swojego życia. I jej dał prawo do otwarcia duszy i odczuwania w owym „najwyższym stanie dobroci”, jak nazwał miłość.

Z kolei Stasiak zawiedziony w swym uczuciu do Anny szuka ratunku w szaleństwie włóczgi: „byle dalej, byle uciec, gdzie, dokąd, nieważne”. Kobieta wreszcie uzmysławia pisarzowi zderzenie radości życia z melancholią zbliżającej się śmierci. Z wieży statku ujrzał wdzięczną kobiecą sylwetkę unoszoną surfingowym lotem na grzbiecie oceanicznej fali: „ (...) zapragnął być blisko niej, przy niej, z trudem powstrzymywał się. Kiedy wyrwała się z wody i odfrunęła z oczu, poczuł żal. Dopłynąłby do niej i powiedział, że jest piękna, że puściłby się z nią w pęd. Potem wdrapałby się na ślizg, jeśli nie protestowałaby. Trochę nie wypa-

dało, trochę zimna woda. Ta starość, kiedyś nie zastanawiałby się ani chwili”.

W „Okrutnym świecie” rzuciłby się i dopłynął do niej, miał wtedy dwadzieścia kilka lat. W „Papierowej dżungli” podzielił się już tylko marzeniem o pędzie. Bez młodzieńczego chojractwa wyrzekł słowa w jego ustach niewiarygodne, przeciwstawne całej ciągle ochoczej do pędu filozofii „papugaio”.

### *Przypiski do „papugologii”*

Conrad pisał w „Jądrze ciemności”: „Znalazłem się znów w mieście grobów, podrażniony widokiem ludzi spieszących ulicami, aby zwędzić jeden drugiemu trochę pieniędzy, aby pożreć haniebnie przyrządzone posiłki, łykać niezdrowe piwo, snuć głupie i błahe marzenia. Wiedza tych intruzów o życiu była dla mnie irytującym pozorem, ponieważ czułem z całą pewnością, że nie mogą znaleźć tego, co ja wiedziałem. Ich zachowanie, które było zachowaniem pospolitych indywidualów zaprzątniętych interesami i przekonanych o swym zupełnym bezpieczeństwie, drażniło mnie jako niesłychany przejaw głupoty w obliczu groźnych okoliczności, których owa głupota nie potrafi zrozumieć”.

Conrad Korzeniowski był wierny swemu antymieszczanństwu także i wtedy, gdy urządził się na lądzie, w Anglii, w przytulnej posiadłości wiejskiej; krytycznie wyrażał się o lądowej egzystencji przeciwstawiając ją poprzedniej, morskiej, niepewnej, chybotliwej, lecz poddającej człowieka uszlachetniającym próbom, hartującej charakter. Natomiast w Papugi, by tak rzec, antykonsumpcjonizm zaskakuja urocze niekonsekwencje: czasami wydaje się, iż nie znosi tego, czego nie zaznał. Aby odeprzec to posądzenie, zwykł był podkreślać z naciskiem, że w Ameryce Stasiek mógł osiąść i dostatnio żyć przy bogatej kobiecie, a jednak nie osiadł. Tu wszakże wątpliwość: może by i osiadł, gdyby Ann wybrała jego a nie Howarda wraz z jego czerwonym packardem. Jednakże Papuga wcale nie musiał aż tak heroicznie bronić się przed zarzutem potajemnego hołdowania mieszczańskiemu welfare, bo i tak nikt by mu nie uwierzył, że wybrałby garnitur i papcie, a nie swoje dunkry, apostoły i chlebaczek.

W „Okrutnym świecie” Papuga pokazuje międzynarodową załogę statku. Przychodzą na myśl „liweroolscy obwiesie”, o których Conrad mówi w „Młodości”, lecz dla niego ta zbieranina to nie tylko malownicze panopticum człowieczeństwa, lecz tło odważnych, szlachetnych postaw. Papuga pisze: „(...) może właśnie teraz obmyśliali przyszłe draństwa. (...) Zuchy z knajp odważnie stawali do działek i dwunastofuntówki. Nie mieli nic z żołnierskości, bronili własnej skóry. Tu nie można było się wymigać, udawać rannego lub schować w pierwszej wyrwie. Bez statku nie było dla nich życia”.

Ale Józef Skiba, Stasiek, Franek i Bolek, to zwykli dobrzy chłopcy o dość silnym poczuciu związków z Polską i religią, którą zaszczyliły im rodzinne domy. W pojedynku Józka z bandytą Gaucho tkwi nie tyle szaleństwo heroizmu, co przekraczający pierwotny instynkt obrony własnej skóry, umotywowany etosem sprawiedliwości odruch karzącej ręki biorącej odwet na plugawym nożowniku.

\* \* \*

Napisał w „Papierowej dżungli”: „Nie ma nic pamiętliwszego od urażonej dumy urzędniczej”. Takich myśli – perełek o urzędnikach znalazłoby się więcej. Wypowiada je poważnie, z surowym wdziękiem. Gogol pisał o urzędnikach jako pasożytach karmionych przez system. Parkinson traktuje o nich zjadliwie i naukowo, z empiryczną determinacją, że tak musi być. Papuga myślał i rozprawiał o urzędnikach tragicznie. Te partie w „Dżungli”, w których opisuje tarapaty z urzędnikami, wydają się zgoła historyczne, autor staje się niezwykle serio, traci dystans tak bardzo, że antybiurokratyczna obsesja przemienia się w źródło artystycznego napięcia, w narzędzie kreacyjne. Tak jak cały Jan Papuga był inny, tak jego antyurzędnicze szaleństwo odbiega od stereotypów.

\* \* \*

Jego opisy: Sceny na Teneryfie: „Wyskoczył jakiś zuch, stanął, uniósł dłoń, wszedł w rytm władczo, po męsku. Dziewczyna przymocowana do niego niewidzialną nicią obtańcowywała jego, potem on ją”. Noc na morzu. „Staszek wzruszył się. Poświata księżycza aż do samego

horyzontu, nigdzie żadnego światła ani podejrzanych cieni. Wielki Wóz dyszłem nurzał się w wodzie, Niedźwiedzica świeciła jasno i nieruchomo. Nad głową mrugały maleńkie Plejady. Fale luszczyły się światłem księżycy. (...) Było cicho. Przez skajlajty i nawiewniki dochodził z maszyny słaby pomruk motorów i woda szumiała miękko przy burtach (...). Chłonał to wszystko (...). Cóż znaczył w tym ogromie żywiołów. (...) zgodził się na swoje małe miejsce”.

Czy mamy w naszej prozie wiele podobnie szczerych i przekonujących opisów organicznego wręcz zespolenia człowieka z naturą, człowieka z morzem i statkiem?

Albo scena w prymitywnej jadalni – knajpce – barze nad oceanem w Nigerii, u murzyńskich rybaków. Przy ognisku młodzieniec gra na gitarze: „Trącał struny, wygłaszał dłońią, szukał tonów, aż zaczął tkać noc dźwiękami skrytymi w jej ciszy. Podchwytywał monotony rytm, gubił go i znów szukał”.

Krótkie zdanie z „Dżungli”: „Wtargnął weń niepokój i postrzępił zachwył”.

Do jego pysznych opisów zaliczyłbym zawarty w „Okrutnym świecie” niezwykle barwny „film” o powolnym płynięciu statku tuż ponad rafami koralowymi Wielkiej Bariery.

\* \* \*

### NIEODŁĄCZNA – JEGO SAMOTNOŚĆ.

W Nigerii płynąc promem „znajdował się w mrowisku ludzkim a poczuł ucisk samotności. Była tu inna ziemia, inne słońce, ale ludzie jak wszędzie źli i dobrzy, jednym można było zaufać, a innym po prostu nie dać się”.

\* \* \*

Miejsce najbliższe na obczyźnie – jego definicja portu.

## DIALOG III

### O PAPIEROWYCH LUDZIACH

– Piszesz w „Dżungli”: „Była to ambasada, wysoki urząd, odpowiednio do tego surowy, a nie siedziba życzliwych serc”. Po wizycie w ambasadzie w Lagos w Nigerii wypowiadasz taki komentarz: „Im chodziło o urzędowy papier, a miły ton był szatańską perfidią”. Stawiasz urzędników na pozycjach szatańskich, nazywasz ich papierowymi duszyczkami, „ambasadorowiczami”, „papierowymi lwami”. Czy próbowałeś wczuć się w sytuację na przykład konsularnego urzędnika, który chce i powinien niekiedy powstrzymać takich szaleńców jak ty – wtedy? Czy spojrzales jak na człowieka na „papierowego lwa”?

– *Może i mógłbym znaleźć punkt widzenia wspólny, jednego nie potrafiłem jednak im darować: że ponizali literaturę, że tak ją lekceważyli, gardzili nią!*

– Ach, to jednak, Jasiu, siebie uważałeś za literaturę! Podszyciwałeś się pod jej imię, skromniutki Janie Papugo!

– *Nie. Już ci mówiłem, że w ogóle nie byłem pewien czy mogę siebie nazwać pisarzem. Ja w Afryce stawiałem w obronie literatury, a to wcale nie oznacza, że czułem się jej godny. W obronie wielkiego znaczenia literatury może stanąć każdy kto ją kocha... Z urzędnikami, z papierowymi ludzikami zawsze miałem na pieńku. Po wojnie pierwszy spośród kolegów naciskałem na powrót do kraju. Może zbyt łatwo uległem romantyzmowi odbudowy. Ten romantyzm pchał mnie tak naprawdę ku morzu, dlatego przyjechałem do Szczecina, tu kształtowała się jakaś radosna republika literatów – zjawili się Gil, Andrzejewski, Galczyński. Rozczarowanie uderzyło mnie obuchem w latach pięćdziesiątych. Romantyzm powojennych zrywów ustępował miejsca nieufności. W tym, co pisałem zaczęło roztrząsać jak na widłach każde słowo, każdą myśl. Odmowa druku gonila odmowę. W imieniu nowego ustroju występowali najczęściej papierowi ludzie. Widziałem, że marnuje się ludzką pracę, energię utalentowanych ludzi, zasługi bohaterów ojczyzny, a popiera wazeliniarzy i szubrawców. Przeżyłem w Szczecinie grudzień 1970 roku. Nastąpiła mała stabilizacja pasożytnicza. Możesz mnie nazwać zakompleksiatym wątrobiarzem czy nawet mizantropem, ale i w literac-*

*kim świataku, nie tylko w wysokich urzędach, spotykałem się na co dzień z papierowymi lwami i duszyczkami papierowymi. I tu rozpychali się łokciami „ambasadorowicze” ustosunkowani i zawsze płynący na odpowiedniej fali. Zawsze wiedzieli jak uzyskać stypendium, jak wydać książkę, jak wznowić, jak załatwić sobie wysokie odznaczenie państwowe i nagrody.*

– Twoja, Jasiu, nieudolność w „załatwianiu spraw” uznajmy za bezsporną, ale dlaczego ci tak energiczni i sprawni „w załatwianiu” nie pomogli ci w wydaniu dwóch powieści? Czy to nie dziwne, że twój „Okrutny świat” spoczywał w maszynopisie, licząc bardzo lekko, trzydzieści lat?! Zastanawiam się, doprawdy, ile w tym osobliwym przestępstwie popełnionym przez nas wszystkich, którzyśmy w Szczecinie stanowili tak zwane środowisko kulturalne, winy szczególnie rozmyślnej, swoistej dolus colarati, a ile spowodowanej bezmyślnym zaniechaniem, lekkomyślnością. Dalszy ciąg twojej „Papierowej dżungli”? Ociężałość, zwykły egoizm?

– *Może i to i to... Ale też – muszę to sam wyznać – moje teksty wymagały niemałego trudu od wydawcy, a ściślej od kogoś, kto podjąłby się ich opracowania. Ja... żałuję tylko, że w „moim czasie” nikt nie był na tyle zaangażowany, żeby wytrwać... Słuchaj, a jak moje książki, już wydane, przyjęto?*

– Otrzymały ogólnopolskie nagrody literackie. Z drugiej strony wiele do myślenia daje recenzja z tak opóźnionej twojej „Papierowej dżungli” ogłoszona przez anonimowego autora w Szczecinie. Ów znawca literatury orzekł, że twoja powieść to „żałosna odyseja maniakałnego trampa, uparte go kundy, który w ucieczce od cywilizacji, w apologii prymitywnego naturalizmu pragnie wyrazić swój bunt i naiwny protest przeciwko paragrafowi i literze obowiązującego pod każdą szerokością geograficzną prawa”.

– *Tak napisał?*

– Zarzucił ci również – podobnie zresztą jak inny krytyk na łamach „Życia Literackiego” – że tematem swoich książek czynisz... siebie.

– *Jak łatwo krytycy wyrokują i nazywają. Może i byłem kundą portowym, czy to takie hanbiące? Tak mnie w tym świecie literackim traktowano, nie dziwię się tej recenzji... Byłem tylko samoukiem więc dlaczego nie kunda? Ci sędziowie, krytycy mnie nie obrażają, nie o to chodzi, rzecz w tym, dlaczego w tych lwach krytyki tak mało pokory, dlaczego z taką pewnością mówią o sobie – my pisarze, my krytycy...*

– Janku, powiedz w końcu kim są dla ciebie papierowe lwy, papierowi ludzie?

– *Uwielbiają okazywać swoją przewagę, wywyższać się, gdy zabraknie ci jednego stempelka, gdy pełnią jakąkolwiek funkcję, kiedy mogą kogoś upokorzyć, podeptać, a choćby tylko zdenerwować, zrobić ci na złość.*

– Jak sądzisz, czy postępowanie papierowych lwów, z którymi miałeś kontakty, było bezprawiem? No bo o jakie tu prawo mogłoby chodzić – państwowe, konsularne, kodeks honorowy Boziewicza, o prawo zwyczajowe, Dekalog, Kantowskie prawo moralne?

– *Myszę, że papierowi ludzie są zgodni z powszechnie obowiązującym prawem.*

### *Port w kwaterze zasłużonych*

Było tak jak być powinno w podobnych okolicznościach. Późny styczniowy ranek, czy raczej wczesne styczniowe przedpołudnie – godzina między dziesiątą a jedenastą. Szczecińska płamista zima, ziemisto-śnieżna. Nawet jasno i nawet nie bardzo wietrznie. Przycmentarna sceneria czerwono ceglastej, bezstyłowej wielkiej jak akwedukt bramy, a raczej ciągu portali, łuków triumfalnych zapraszających tak pompatycznie do świata cieni. Jednak chyba przedpołudnie. Nie lubię tej pory. Także na pogrzeby, choć można by się spierać o to, jaka pora najsposobniejsza do tej usługi tak przecież zwyczajnej. Pewne jest to właśnie, że około godziny jedenastej odczuwam jakiś psychofizyczny niepokój będący pomieszaniem irytacji i „okłapnięcia”. Wzniosłość, która powinna towarzyszyć pogrzebom, do mojego przedpołudniowego nastroju zupełnie nie pasowała.

A wogóle było dziwne, że Jasio zmarł 2. stycznia 1974 roku. To znaczy dziwne, że... już. Ponieważ zabrakło – zakończenia. „Papierowej džungli” zabrakło – jak wyznał w szpitalu, w stanie niemal agonalnym – pięćdziesięciu stron. W trakcie jej pisania, niejako z marszu, czy może rejsu po szczecińskich ulicach, udał się do szpitala i tam powieść kontynuował. Zabrakło i nic na to poradzić nie można. Nie zdążył. Zresztą pośpiech w ogóle nie był potrzebny – przecież i tak wcale nie spodziewał się, że ktoś mu to wyda.



Przed bramą zebrali się ludzie. W mieście, ściślej w tutejszym światku kulturalnym (papierowej dżungli?) wspominało się przelotnie, że ma jakieś kłopoty chyba z żołądkiem. Pogwarki szły w stronę... ameby, której miał się nabawić w Afryce. Zresztą wieści o morach typu parazytologicznego dopadających marynarzy, dejmanów i pasażerów, o tym, że ludzie ci są narażeni na krwiożerczość pasożytniczych pierwotniaków, należą pewnie do folkloru miast portowych. Szczecin zdobył się nawet na kliniczny oddziałik chorób tropikalnych. Takie jednak pomysły jak ten z żołądkiem – ameba? rak? – jedynie na moment ożywiają gnuśne środowisko; sporządza się z nich jeden z wytrychów otwierających tlen dla zatęchłej atmosfery w nudnych klubach i mieszkaniach prywatnych, na dwa, trzy tygodnie, góra dwa miesiące, potem wyrzuca się je na złom targowiska plotek i szuka nowych. O jego żołądku już dawno zapomniano. I oto z tej płaskiej, zaflegmionej przeciętnością nudy wyrwała ich – też nie na długo – wiadomość o jego śmierci. Snu to tyle domysłów o samej chorobie, której jednak nie umiano nazwać – o tajemniczych okolicznościach...

Sami lekarze skwitowali przypadek Papugi kwaśno-żartobliwie: a to nam zrobił kawał. Niemądry kawał, było prawie śmiesznie.

Ale też krążyły poważniejsze pogaduszki: Co zrobić z pogrzebem? Włóczył się ten Papuga bez sensu po szczecińskich ulicach. Nigdy nie pracował jak człowiek. Jakieś tam dorywcze, dawane mu z łaski spotkania autorskie. Ale, no trzeba to przyznać, tych kilka książek ma na swoim koncie (hm, „na koncie”...). Same opowiadania. Podobno też pisał i zostawił w szufladzie jakieś powieści, ale to ponoć słabizna. Wadził się z reżimem, bo wadził, ale tak naprawdę to niegroźnie. Lubił wyskoczyć na zebraniu w Bramie Królewskiej u marynistów, czy nawet na zjazdach pisarzy, ale za przeproszeniem, jak Filip z konopi. Zgłaszał jakieś niejasne pretensje, jakieś beznadziejne projekty, jak ten z falansterem literackim w Bieszczadach czy osadą pisarzy nad Zalewem w Dargobądziu.

Chodził, raczej łąził w tych swoich krótkich spodenkach, ale pogrzeb państwowy mu się należy. Ej, nie wygłupiajcie się! Uradzono w końcu, że zagra orkiestra wojskowa i ciało spocznie w państwowej kwaterze dla zasłużonych. Ciekaw jestem, co by sam na to powiedział.

Bezpłatny pochówek na gigantycznym Cmentarzu Centralnym w Szczecinie przy ulicy Ku Słońcu 125 rozpoczął się od wyjścia z owej przycmentarnej kaplicy tłumku przyjaciół. Idą. Ci, którzy go dobrze znali. Ci, którzy lubili z nim pogadać. Ci, których o coś prosił (rzadko), i ci, których omijał (tak zwanych oficjeli, może papierowych oficjeli) ze wstydliwym lękiem. I syn Bartek Rafał. I żona Irena. I dalsi i bliżsi znajomi. I pani Janina Matysik, autorka jego portretu, który namalowała w 1956 na wystawę w warszawskim Arsenale. To ona uchroniła i udostępniła maszynopis jego powieści, co dało początek odkryciu istotnej spuścizny literackiej Jana Papugi – powieściowej.

Szliśmy wpieryw szeroką aleją wprost na ponurą budowlę dawnego krematorium, a potem skręciliśmy w boczną aleję. Blaszący marsz żałobny dość bezmyślnie dęła i wybijała orkiestra żołnierska.

Krocząc w zamysleniu wyławiałem z pierwszych rzędów drobną, odzianą w cienką kurtkę postać jego syna. Potem już nad grobem w trakcie jakiegoś przemówienia znów mu się przyglądałem, tym razem widziałem jego twarz – pociągłą, zaczerwienioną od łez. I jakąś zawziętą. Po blisko dziesięciu latach, gdy spotkał się ze mną wtedy, gdy „Papierowa dżungla” czekała już na druk, a „Okrutny świat” był w opracowaniu, wydał mi się równie drobny i zawzięty: ta twarz studenta Wyższej Szkoły Morskiej (Jasio marzył o tym, aby jego syn studiował w tej uczelni) nader rzadko się uśmiechała. Tam nad grobem był jak gdyby zapiekły w żalu po tak nagłym odejściu swego niecodziwanego ojca. Również po latach zdaje się, nie bez oporów dochodził do synowskiej afirmacji tego, co ojciec stworzył, czym był dla niego i dla polskiej literatury.

Uczestnicy ceremonii jakże smutnej, wysłuchali jakichś słów. Coś powiedzieliśmy. I położyliśmy kwiaty. Uśmiechnęło się słońce, styczniowe, szczecińskie.

Pomyślałem, że Janek był niepozorny i taki jakiś boczkciem przemykający, ale jego książki to konary drzewa trwale na północno-zachodnim wybrzeżu polski zakorzenionego i że to drzewo Papugi przygląda się ze Szczecina niedalekiemu morzu, i wszystkim morzom i oceanom świata. Jak napisał w „Dżungli” odejście z portu jest zawsze trochę uroczyste.

Z tonem właśnie jakimś ostatecznym zgadzają się chyba te słowa Conrada-Korzeniowskiego: „(...) złudne poczucie, które wabi nas do radości, do niebezpieczeństwa, do miłości, do próżnych wysiłków – do śmierci; triumfalne zaufanie w siłę – gorączka życia w garstce prochu, a w sercu żar, który z każdym rokiem słabnie, ochładza się, zmniejsza i gaśnie – i gaśnie za wcześnie, za wcześnie – przed wygaśnięciem życia”.

Przypomnienie Janie Papugo, twego ulubionego pisarza z książki „Młodość” jest – zgodzisz się – dla tej chwili stosowne. Już sam sobie dopowiesz czy twój żar słabł, czy optymizm ciągle na nowo podsycany, który wielu brało za niemądrą lekkomyślność, został zwarzony gorzkim doświadczeniem, jakim była dla ciebie twoja ostatnia Afryka. Czy zgasł przed wygaśnięciem życia?

### *Na zewnątrz*

Zaterkotał jakimś zaświatowym dźwiękiem telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem ostry i zarazem nieśmiały głos Jasia. Była też w nim rezerwa... Ale ja rzuciłem się pierwszy z pytaniem:

– No i jak to, co napisałem ci się podoba?

A on rozgadał się i to z pretensjami:

*– Tak naprawdę to myślę... że i ty, i ci wszyscy krytycy, zarzucacie mi tylko jeden grzech – grzech marzenia. A ty zrobiłeś ze mnie jakiegoś... półświętego głupka. Z moich cnót i grzechów ulepiłeś pisarza, którego trzeba i warto rozbierać na włókienka, na czynniki pierwsze. I w końcu wszyscy popychacie mnie w stronę Niki fora literatury o przesłaniu moralnym dość zagmatwanym...*

– Chyba jednak wkradły się do naszych pogwarek nieporozumienia. – dopiero teraz ochłonałem zaskoczony niespodziewanym telefonem – Zawsze uważałem i mówiłem ci, że jesteś wspaniałym pisarzem. Podzielałem z radością pogląd Zofii Nałkowskiej, która w swoich „Dziennikach” pisała: „Polanica, 29.VII.1946. Wczoraj udało mi się kupić numer „Twórczości” (podwójny za lipiec i sierpień). Doskonały nowy talent – Papuga Jan. (...) zwiezłość, spokój, istotność, dobry gatunek. Uczu-wam szczęście, że to jest”. Porównywano odczucia z lektury twojej prozy do „kąpieli w potoku górskim albo w oceanicznym przyboju”. Tadeusz

Konwicky ubolewa, że nie znalazł się ktoś, kto by opracował i wydał twoją spuściznę...

– *Znalazłeś się ty...*

– Wielu było tych, którzy uznali twój talent, między innymi wybitny marynista Stanisław Saliński.

I do milczącej słuchawki ciągnąłem dalej:

– Co do mnie, jeśli chcesz, powiem wprost, dlaczego twoje powieści, twoje pisarstwo lubię. Ty nie wstydzisz się poszukiwać zaginionego kanonu moralnego, najprostszego, który najczęściej nazywasz pięknem. Twoje pisarstwo jest naiwne w tym sensie, że można by zeń wysnuć wnioski o niezrozumieniu przez ciebie istoty i taktyki współczesnego szatana. Twój brak umiejętności rozpoznawania Bestii... Jednak twoja niekiedy wręcz dziecięca otwartość i niewiedza, jest osobliwym pozorem. Twoja diagnoza świata nie jest uproszczeniem, jest ufnością. Ufasz, żywisz nadzieję, że istnieją dobrzy ludzie. Pisarze zaprawieni w opisywaniu zła, można powiedzieć wysmakowani w owej wiedzy o świecie, i przeżarci nią – budzą w nas poczucie grozy i zwątpienia. Jakże często na nasze zdziwienie potrafią oni odpowiedzieć jedynie czarnowidztwem, nihilizmem, drwiną. Tobie przewrotność jest całkowicie obca.

– Halo! Jasiu, słuchasz mnie?! – zawołałem, gdyż odniosłem wrażenie, że „po drugiej stronie” nikogo już nie ma. A może tak było od dawna, od samego początku, odkąd nasz dialog stał się moim monologiem?

\* \* \*

Pustą plażą afrykańską kroczył kiedyś jego bohater, nagi, ponieważ i tak skąpy przyrodzivek upiął w węzeł. Tak dotarł do terenu obarykadowanego odstrasżającymi napisami: Only for members.

Poczuł chęć wykapania się i pobycia wśród nieznanymi ludzi, owych „members”. A tu nie wolno. Ważył się, ważył, w końcu zrejterował, zawrócił. Był to nieustanny dramat Papugi: te kłopoty z wniknięciem głębiej w zakazane rewiry.

Bliskiego kontaktu szukał także na Teneryfie. Włóczęg się trafił na wernisaż. Trzeba go sobie wyobrazić stąpającego ostrożnie, czujnie, płochli-

wie, bo tu też owo chłodne „for members”. Przemógł jednak wstydlivość, wszedł i tak zanotował wrażenia o wystawie, obrazach, środowisku: „Miejscowi mistrzowie mocno tkwili w tradycjonalizmie, gdy ich szczenińscy koledzy szaleli w poszukiwaniach abstrakcyjnych. Uciekali się do cudów. W sztuce niezmiernie rzadko dzieją się cuda, a tylko one naprawdę się liczą. Chcieli wywołać stany emocjonalne podobne do tych, jakie daje muzyka. Może zawiedli naszą wrażliwość, może nasza wrażliwość zawiodła ich”.

A więc warto było przeniknąć, narazić się wszechobecnemu rygorowi ekskluzywności. Zobaczyć. Odczuć. Doznać tego, co byłoby niemożliwe, gdyby pozostał na zewnątrz.